

# WIEK ILUSTROWANY

## DODATEK NIEDZIELNY

### Raz na tydzień

Wielkość przychodzi Wielki Post, przypomina mi zaraz owa stara anegdota o tureczynie, którego losy zygnały niegdyś do Lechistanu w same zapusty. On go nie pytał: „Czy znasz ty polskie zapusty?“, ale sam poznał i głowa zakręciła mu się od huków i od kuligów, ređut, tanów skocznych, hołup-rzędzistych, a może i od kielichów — niepustych. On co bądź tureczyn orzekł, iż ma do czynienia z szaleńcami lub przynajmniej z ludźmi nad miarę komyślnymi. Kiedy jednak po Popielcu z hukiem i stukiem, jak uciął, a szaleńcy przemienili się nagle w ludzi statecznych, tedy tureczyn nie umiał znaleźć dla tego niezwykłego faktu innego objaśnienia, jak że „wraz z popiołem nasypało polakom rozumu i zdrowia“.

Dziś oczywiście w zapusty szalejemy mniej, bo już nie stać na dawne szaleństwa, i przeskok popielcowy nie jest już dla większości tak wielki, ale w każdym razie chętnie by się chciało uwierzyć, iż wraz z popielcem w pierwszą środę postu przybyło nam nieco rozumu.

Co prawda, byłoby to tylko potwierdzenie starego przysłowia, że „mądry polak po szkodzi“.

Stanowczo wyrzekam się tematu wielkopostowego, obliczania wszystkich szkód mniejszych i większych, jakie mogły sprawić szaleństwa karnawałowa, — tam zwłaszcza, gdzie nie było w nich miary. Niech mi wolno będzie jednak zwazyć niektóre przynajmniej „klocki“, przypięte wielu zawiedzionym.

Karnawał stał się u nas targowiskiem, na którym papy i mamy poszukują zięciów „ze stanowiskiem“, a zięciowie — posagu. Jak na każdym targowisku obiedwie strony starają się wzajemnie — oszukać, i zwykle też potem obiedwie zostają zawiedzione. Tak było zresztą oddawna, a zapewne będzie i na przyszłość, odkąd zwłaszcza małżeństwo stało się finansową transakcją, a coraz trudniejsze warunki życia, obok wygórowanych wymagań obustronnych, zdają się niemal uprawniać takie właśnie postawienie kwestyi.

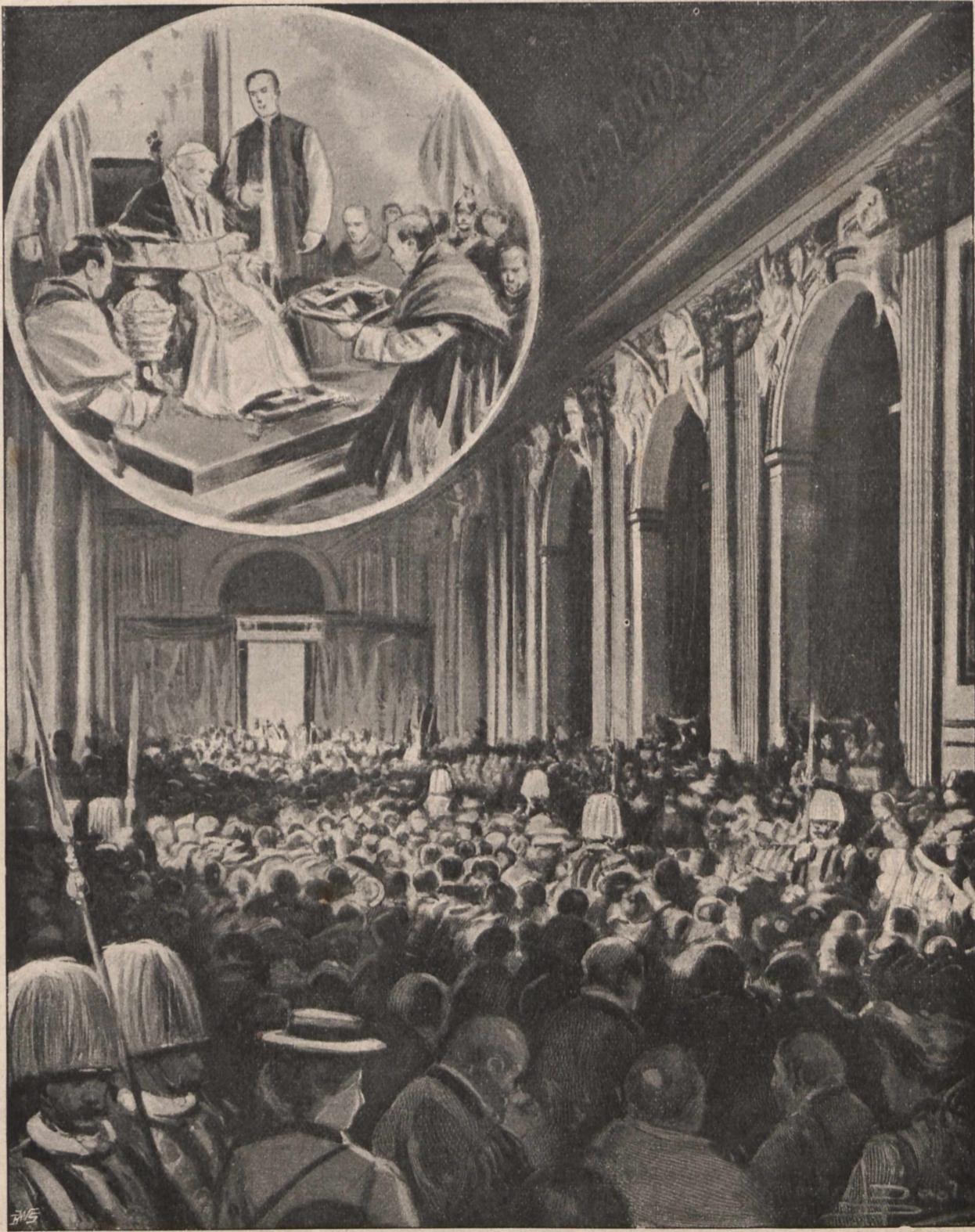
W tym jednak „handlu wymiennym“ zadziwia mnie przedewszystkiem rola tych wszystkich kupców i handlarzy drugorzędnych, którzy bez jakichkolwiek bądź widoków nadeptują na nogi fortuny matrymonialnej, a przytem zawsze sięgają o parę stopni wyżej, niżby należało. To wszystko są naiwni, którzy liczą na naiwniejszych jeszcze od siebie. Niestety tylko w „Posażnej jedynaczce“ udało się papie zyskać, a raczej nie odstraszyć zięcia, gdy się odsłoniła „tajemnica rodzinna“. Hazardy zaś innych pap i mam, które wyrzucają pieniądze na stroje cór, wydają u siebie bale i prowadzą swoje pociechy po ređutach — zwykle wydają jeden tylko rezultat — długi...

Z drugiej strony i lowcy posagowi, którzy maskują swoją goliznę hukiem i szumem w karnawale, lansując się po balach i piknikach, skoro tylko sięgają zbyt wysoko — zbierają także w plonie te same długi. Nareszcie najnaiwniejsi i najbiedniejsi są owi młodzieńcy ze sfery pracującej, z za lady lub biurka, którzy podczas karnawału, dostając się do domów zamożniejszych w roli tancerzy, bałamucają sobie głowę i marzą o karierze matrymonialnej. Rola ich jest rzeczywiście godna pożałowania. Karnawał wytwarza duże zapotrzebowanie froterów i statystów, zład taki pan Leos, Adaś, Władysław i t. p. są często

pożądanym nabytkiem do obracania panien, ale po za tem nikt na nich nie zwraca uwagi. Panny Ada, Ala, Lola, Lulu czy jak tam się wogóle dzisiejsze panny nazywają, polują ze swej strony na mężów „ze stanowiskiem“ i o Władziu, Mieciu czy Leosiu ani myślą. Tymczasem oni kradną sobie czas i zdrowie, narażają się na wydatki, pozują na „złoty młodzieńców“ i ostatecznie robią — długi.

Jakkolwiek tedy starym i zużytym jest dowcip na temat karnawału, iż pozostawia on po sobie kar — nawał, jednakże faktem jest, iż najbliższym jego spadkiem i najcięższym klockiem są długi.

Skoro mówimy o długach, wspomnijmy o jednej szczególnej ich kategorii, która zapewne ma też sporą swoją rubrykę w spuściznie karnawałowej. Tą kategorią są t. zw. długi przyjacielskie lub hono-



### Jubileusz Ojca Świętego.

- 1). Składanie holdn i darów przez kollegium kardynałów i delegowanych dostojników duchowieństwa.
- 2). Nabożeństwo jubileuszowe celebrowane przez Ojca Świętego w Bazylice S-go Piotra.

rowe. Miałem sposobność mówić raz o nich, a teraz widzę, iż podobny temat podjęła i *Kronika Rodzinna*. Do osobliwości etyki społecznej należy, iż posiadanie i — nieplacenie długów przyjacielskich aljas „honorowych“ — żadnego szwanku na honorze nie czyni i może być najspokojniej tolerowane przez sumienie publiczne. Drobne, rublowe długi pomiędzy „przyjaciółmi“ nie liczą się i być może czasami bywają przynajmniej w postaci obustronnych pożyczek regulowane. Tutaj zresztą, dla uspokojenia drażliwości sumienia, służy wymówka, iż „o takim drobiazgu zapomniałem“, ale do nich przybawiają grubsze sumy i poręczenia, które także idą w zapomnienie. Pana X, dłużnika swego, możesz śmiało spotkać przy butelce szampana, ale ci odpowie, iż „teraz jest goły i odda ci — kiedwładziej“. Jeśli nastajesz, obrazi się i oto masz nieprzyjaciela, który odtąd będzie udawał, że cię nie zna lub cię nie widzi, a za oczami będzie cię szkalował, ile wlezie. A tak sprawdza się przysłowie: „Chcesz sobie z kogo zrobić nieprzyjaciela — pożycz mu pieniędzy“. Daleko większego nieprzyjaciela zrobisz sobie, jeśli mu poręczysz pożyczkę. Wówczas liczyć na pewno, że cię nie minie wyrok, komornik i dalsze konsekwencje aż do zupełnej spłaty długu. Twojego zaś dłużnika nie potępi nikt: ani opinia, ani najbliżsi, ponieważ niezapłacenie długu hańbi tylko — kupca. Jeżeli ktoś bez twojej wiedzy weźmie ci rubla, będzie złodziejem, choćby taką „pożyczkę“ zwrócił; jeśli zaś ktoś pożyczę czy nie oddaje, choć może i tylko ogranicza się o bilet — wówczas jest w porządku. Jeśli nawet sumienie zacznie mu za głośno mówić, to i wtedy umie je zagłuszyć solennym zapewnieniem: „Oddam święcie wszystko co do grosza i szkody wynagrodzę“. Wtedy jest już zupełnie spokojny i może śmiało nie oddawać długu aż do skutku, t. j. swojej albo wierzyciela śmierci.

Pod tym względem konieczna jest pewna reforma „etyczna“. Rozumiemy, iż mogą się zdarzać wypadki, kiedy oddanie długu staje się trudnym np. człowiekowi obciążonemu liczną rodziną, obowiązkami, wyczerpanemu pracą i t. d. I wówczas niepodobna usprawiedliwiać dłużnika, ale można zastosować do niego okoliczności łagodzące. Ale zwykle tak było, iż t. zw. „naciągacze“ rekrutują się z ludzi lekkomyślnych, żyjących dostatnio nad stan, wyrzucających bezmyślnie pieniądze, a natomiast pokrzywdzeni wierzyciele są ludźmi ciężko pracującymi i mającymi obowiązki. Wtedy opinia powinna piętnować niesumiennych dłużników. Lekkomysłność w żadnym razie nie może być tutaj brana jako okoliczność łagodząca. Oto np. fakt, choć bez nazwisk. X miał długi „koleżeńskie“ i na pokrycie ich (pomyśl oryginalny) zaciągnął grubszą jednorazową pożyczkę w zamożniejszym przynajmniej źródle. Ponieważ jednak pragnął „szeroko“ odszkodować swych dłużników, przeto chociaż udał się do — Monte-Carlo, aby sumkę podwoić. Zamiar szlachetny nie udał się i wierzyciele nie dostali nic, choć było pośród nich wielu ciężko pracujących. Czyżby i tutaj można było tłumaczyć tak szlachetnie lekkomyślnego dłużnika?

Nie, pobłażliwość opinii dla dłużników przyjacielskich, dla osób zarywających czy to przyjaciół, od których wzięli pożyczkę „na słowo“, czy to szewca, krawca, gospodarza domu, doktora i t. d., powinna nareszcie ustać. To nie jest bynajmniej temat do humoreski, jak to się dzisiaj najczęściej zdarza; to nie przedmiot do ośmieszania „naiwnego“ wierzyciela i mby żartobliwych zachwyty dla sprytnego „naciągacza“, lecz materiał zupełnie niedostateczny do piętnowania często lekkomyślnych może, ale zawsze podstępnych bankrutów moralnych. To także jedna z kwestyj etycznych, rozstrzyganych nader osobliwie w obecnych czasach.

A propos kwestyj etycznych. Przypomina mi się prowadzona świeżo rozmowa z jedną z pań z powodu mojej wzmianki o pewnym ogłoszeniu pod adresem „laskawego złodzieja“.

— Znam podobny wypadek — mówiła moja interlokutorka — a zdarzył się od w Londynie. W jednym z pism, nie pamiętam, czy były to *Daily News*, czy inna gazeta, ukazało się ogłoszenie mniej więcej tej treści: „Nagrody 40 funtów szterlingów (około 400 rb.) obok zapewnionej dyskrecji, przeznaczają się złodziejowi, który zechce odesłać skradzione kosztowności pod wskazanym adresem. Paser (t. j. kupujący przedmioty skradzione) da z pewnością mniej“. Nie wiem, czy tym razem złodziej był laskaw odesłać skradzione przedmioty, ale za to wiem o innym rezultacie ogłoszenia, ponieważ pisały o niem za czasu mego pobytu w Londynie miejscowe dzienniki. Oto oryginalnym ogłoszeniem zainteresowała się policja oraz sądy. Jakkolwiek w Anglii ceną wysoko ekscentryczną, jednakże tym razem nie uwzględniono zbytniej oryginalności ogłoszenia i jego nadawcę z pod wskazanego adresu pociągnięto do odpowiedzialności sądowej z artykułu, który opiewa, że osoba, zapewniająca „dyskrecję“ złodziejowi jest jego współnikiem, nawet w tym wypadku, kiedy

chodzi o odkupienie skradzionej swojej własności. Sądy podzieliły ten pogląd i skazały autora dyalogu ze złodziejem na 10 funtów szterlingów, czyli 100 rb. kary.

Nie wiem, czy pogląd ten sądów angielskich podzielią czytelnicy i uznają go za etyczny, mnie jednak zarówno nagroda udzielana złodziejowi, jak i wymierzanie kary „w cztery oczy“, co się często praktykuje np. na wsiach wobec kłusowników, złodziei leśnych i t. p. wydaje się w równej mierze niemoralnym i nieetycznym.

Przechodzę teraz do kwestyi odmiennej. W tych dniach odwiedził mnie laskawie szanowny ks. proboszcz W. Kokowski z parafii Dzielniki w wielunińskim i prosił o podjęcie pewnej sprawy:

— Wie pan — mówił — że jeżeli w tak wielkim mieście, jak Warszawa, kłopot jest ze zgromadzeniem funduszy na budowę kościoła, to cóż dopiero mówić o prowincyi, a zwłaszcza o wsiach, pozbawionych w dodatku zamożnych kolatorów. Tu i owdzie kościółki chyliły się do upadku, a biedni parafianie nie mogą zaradzić potrzebie. Sam np. buduję kościół w swojej parafii, a chociaż parafianie zadeklarowali znaczną nawet sumę, ale i tego nie wystarczy. W podobnym, a może i gorszym położeniu znajduje się wiele kościołów wiejskich. W Warszawie słychać przynajmniej o wielkich legatatach, o znacznych sumach, składanych na cele budowy kościołów, ale na wsi trzeba opędzać potrzeby prawie wyłącznie datkami biednych parafian. Otóż chodzi mi o to, aby ogół ofiarodawców przyszłych mógł sobie uświadomić tę trudną pozycję kościołów na prowincyi, a szczególnie kościołków wiejskich. W Warszawie idzie o budowę gmachów wspaniałych, któreby zostały jednocześnie pomnikami architektury, na wsi najczęściej już tylko o zapewnienie jakiejś takiej trwałości świątyni Bożej. Niechby też legataryusze pamiętali o tych potrzebach siola i z ofiar swoich przeznaczali choćby drobny procent (1, 2, 3—5%) do dyspozycji biskupów dycezyalnych na utworzenie funduszu zapomóg dla kościołów parafialnych. Niech pan tę kwestyę poruszy w jednym ze swoich feljtonów.

Notując powyższą rozmowę, czynię zadość życzeniu szanownego ks. proboszcza, a jednocześnie sędzę, iż utworzenie funduszy stałych po dycezyach na uzupełnienie ofiar, przeznaczonych na restaurację lub budowę kościołów wiejskich, jest rzeczą najzupełniej wykonalną. Gdyby zaś tylko utworzyło się na początek choć skromne jądro, wnet może znaleźć się ofiarodawcy, którzyby skarbonkę taką napełnili. Byłoby to zaś wielką pomocą dla biednych wiejskich parafian, którzy dziś nie mogą podać znacznym nieraz potrzebom, choć ofiarność ludu naszego w danym kierunku zdaje się być niewyczerpana.

Mazur.



## I. ZIELONA KĘPA.

Na ubogim cmentarzu wiejskim, drzemającym wśród drzew ogolonych z listowia i jakby skamieniałych pod techniem mroźnego wicheru lutowego, stała się rzecz zgola do wiary niepodobna.

Mogily utonęły pod grubą, puszystą śnieżną powłoką.

Mróz ściał powierzchnię białej pościeli, że stała się tak twardą, tak szklistą, iż żadne ptactwo nie mogło rozgrzebać jej dla wydobycia z pod spodu zmartwych źdźbeł trawy.

Pewnej nocy na cmentarzu spiknęły się wszystkie naraz moce huraganu. Puściły w tan szalony tuleje wirów i dobrawszy do pomocy wielką, świeżą ponowę wszystkie mogily dziedziców i kmieci zrównały na jeden wspólny poziom.

Ludziska ciągnący z lasu pobliskiego z pękami

chrustu zarzuconemi na plecy z podziwem kręcili głowami oszroniałemi.

— Jakże to może być — szeptali — jakaż to śmiałość wiatru! Mogily możnych panów utonęły wraz z pastuszemi, pod jednym wielkim, lśniącym białym prześcieradłem!

Dziwili się, nie przeczuwając, iż zdarzają się rzeczy na cmentarzu wiejskim bardziej jeszcze podziwu godne.

Bo oto, w czas mrozu trzaskającego, gdy cała przyroda, jakgdyby lękiem przejęta przytęla w sobie życie i gdy śnieżnica zatarła ślady wszystkich mogil bez wyjątku, w ustronnym kącie, tuż pod parkanem ułożonym z kamieni polnych na nikiemnej opuszczonej mogilce, zaszarzała plama szarej ziemi na której... zielenieje garść trawy.

Zbliżył się przechodzień struchlały, dotyka dłoń wilgotnej ziemi, spogląda na ową kępę ziela „żywego“ i żegna się krzyżem świętym.

Ztąd, dygocąc biegnie do wsi i opowiada niesłychane, trudne do pojęcia zdarzenie.

Mądralom w to graj. Zeszli się, okrzyki mogile i radzą, a przesadzają się w dociekaniu przyczyn niesłychanego zdarzenia.

Kowal Antoni spycha to na źródło podziemne wroźbitka Grzegorzowa widzi czary, pisarz zaś gminny rzeknie na chybił traf!

— Co wy tam wiecie, wy którzy gazet nie czytacie! Hen! daleko ztąd, za górami i morzami ogień wydobyt się ze szczytu góry i cały kraj razem z ludźmi zasypał popiołem. Któż wie, gorącość podziemna może też dosięgła naszego cmentarza? Jeno-gdy wiadomość o zielonej kępie wyrosłej z ziemi zmrożonej doszła do uszu księdza proboszcza, ten zaraz znalazł właściwe wypadku wyjaśnienie.

— Wiem, wiem — rzekł — Tam, na skraju cmentarza pogrzebałem podróżnego który w drodze zasnął z wycieńczenia, z biedy. Ow człek pisywał mądre i pocziwe księgi, podmawiał bliźnich do cnoty i dzielił się ostatnim kęsem chleba z uboższymi od siebie.

Nosił w łonie serce gorące. Ztąd to w pójści najsilniejszego mrozu, taje i rodzi zioła, ziemi krywająca ciepłe, kochające serce człowieka.

## II

### CZŁOWIEK USZLACHETNIA NATURE.

Przywidziało się człowiekowi, iż matka naturalna straciła prawo rządzenia tym światem.

Powziąwszy podobne przekonanie, człowiek zawołał na swoich

— Chodźcie bracia i weźmy się do dzieła!

Zaczęto działać. Zwalono góry niebotyczne i na ich miejsce utworzono doliny. W innych miejscach przewiercano łono skał, zmieniono kierunek biegu rzek, ujarzmiono oceany, wytrzebiono lądy, tysiące gatunków stworzeń skazano na śmierć niebłaganą.

Ginie ostatni wilk i kłapie zębami:

— Wasze szczęście — powiada po swojemu — że odziedziliście powagę nademną, do niedawna panem puszczy, borów i nawet dróg publicznych. W przeciwnym razie pokazałbym wam na czym się właściwie zasadza moje, wilcze gospodarstwo.

Człowiek zaś nie ustaje w przebudowie i doskonaleniu świata. Nie dość mu było chodzenia po ziemi: wydrążył pień drzewa, nadał mu kształt ryby, poprawił skrzela drewniane i drwi z przestroni wodnych. Potrafił w martwym zlepku z metali z pomocą ognia i wody wytworzyć sztuczne życie. Zaprzął zwierze parowe do wozu i po drodze ułożonej z gładkich relsów pędzi w daleki świat bez zmęczenia i troski.

Ale nie dość mu tego. Wymyślił maszynę która lata w powietrzu i obnosi go po nad najwyższe mi chmurami, wyżej niż najdumniejszego z ptaków.

I żyje człowiek na świecie, przetwarzając jego kształty i siejąc zniszczenie wśród wszystkiego co zagraża własnemu jego bezpieczeństwu, co przeszkadza jego żądzy wygod i użycia.

Nadejdzie kiedyś chwila w której zada śmierć ostatniemu tygrysowi, ostatniemu wężowi zjadliwemu, ostatniemu stworzeniu, które w braku lepszej żywności pragnęłoby pożreć człowieka.

Słyszałem mówiącego mędrca:

— Człowiek nie jest o tyle ciemnym aby nie przeczuwał, iż chwila bezwzględnej obojętności zwierząt szkodliwych jest coraz bliższą.

W przeczuwaniu tej chwili, człowiek zaprawia się do walk na innym polu, albowiem jego bezczynność równałaby się zniechęceniu czynnego i przedsięwzięcia ducha ludzkiego.

Rzucę okiem na dzisiejsze gromady ludzkie, rozważ i ocen ich czyny.

Iluż to ludzi, w nieustannych zabiegach około „poprawienia natury“ lub kto woli wynaturzania świata, uprząta ze swojej drogi i spycha w przepaść niebytu istotę której na imię *człowiek*? W czasach najświeższych, podobne łowy człowieka na człowieka, prawdopodobnie w celu osłabienia szpetoty i u-

krycia ohydy tego czynu, nazwano łagodnie współzawodnictwem”.

### III. POSZKODOWANI.

Człowiek zawitał na ten świat bez cienia samowiedzy, pozbawiony nie tylko władz fizycznych lecz nawet zaczątków poczucia własnego „ja”, nawet cienia rozumu.

Najlichsza ptaszyna rodzi się ze znacznie większą dozą daru obserwacji, zrozumienia potrzeb i zmysłu samoobrony. Najnikczemniejszy owad w chwilę po narodzinach silniej zaznacza swoje własności indywidualne niż niemowlę.

Lecz w miarę wzrostu, niezaradna istota ludzka, coraz potężniej staje się człowiekiem. Zyskuje władzę rozpoznawania nie tylko rzeczy martwych lecz najgłębszych i najszczytniejszych, co czyni go w końcu istotą rozumną, najmędrszym ze stworzeń istniejących na ziemi, królem wszystkich tworów Boskich.

Coraz częściej zdarza się spotykać ludzi niezadowolonych, którzy twierdzą, iż zostali na tym świecie poszkodowani. Skarżą się, zupełnie jak gdyby rozum i możność odczuwania własnej wyższości, nie były darami, które rozporządzając, człowiek za poszkodowanego na świecie uważać się nie może.

F. R.

#### Z baśni Ezopa.

Ezop wylegiwał się w słońcu, wielbił bowiem zawsze ów złoty wóz Fojbosa, który sieje światło i ciepło na ziemię, a nadto czynił zadość wrodzonemu lenistwu.

Towarzysz jego, niewolnik Kratias, rąbał drwa figowe i ocierając pot z czoła rzekł:

— Na czarną Hekate! czemu ty ieniu garb swój wygrzewasz, kiedy ja ociekam potem: Ażaliś nie taki niewolnik, jak ja?

Ezop poruszył się leniwie:

— Nie zupełnie taki. Ty masz siłę w pięści, a ja w głowie.

— To rąb głową!

— Rąbię, ale nie drwa.

— No to ci za to grzbiet tego wyrąbie pan, który cię nie po to kupił, abys się w słońcu wylegał.

Ezop ziewnął:

— Kupił?... Jużem ci mówił, że to ja kupilem sobie pana.

— Żeby ci grzbiet garbował?

— Nie, żeby mnie karmił. Mam zbyt wiele do myślenia, abym się o takie głupie rzeczy troszczył.

Kratias uśmiechnął się złośliwie:

— A tak! masz do myślenia, żeby się wykpić od roboty... Pamiętam, jakś to dzwigał w podróży pana ciężki kosz z chlebem. Myśmy się śmieli, ale, jak chleb zjedzono, i tyś paradował z pustym koszem, zrozumieliśmy twój wykręt. Ale teraz ci się nie uda. Wiesz, pan znów udaje się w podróż?

Ezop przeciągnął się niedbale:

— A dokąd?

Kratjus oparł się na siekierze i prawil:

— A do Delf, składać ofiary bogom. Stenokrates, który podsłuchiwał, jak pan przy biesiadzie rozmawiał z przyjaciółmi, słyszał takie słowa: „Idę, i oto po drodze chcę czynić dobrze. Kto na mnie rzuci kamieniem, ja na niego chlebem”. I polecił wziąć podwójny zapas chlebów. Jakem to usłyszał, podjąłem się zaraz nieść kosze, choć są najcięższe. Wypredziłem cię, Ezopie, żaluj!..

I zaśmiał się śmiechem rozgłośnym i grubym.

Ezop słuchał uważnie i odezwał się nagle:

— A są tam po drodze kamienie?

— Jużci są, jak na każdej drodze, ale rzadko, bo będziemy szli gajami oliwnymi i łąkami. A jeśli pan mówi o rzucaniu kamieniem, to myślał chyba o tych, co noszą kamień za pazuchą, jak gomółkę, i walą nim jak z procy... Tym zasie pan odrzucać będzie chlebem. Powiadam ci, nie ujdziemy i parę stadyj, — śmiał się Kratias — a kosze będą próżne... Żaluj!

Ezop nie żałował, tylko milezał. Gdy zaś wyruszone w drogę ujrzało go, jak uginał się pod

koszem toczonych kamieni, których nabierał na wybrzeżu morskim. Niewolnicy śmieli się, a najbardziej Kratjas, choć stękał pod ogromnym ciężarem dwóch wyładowanych koszy z chlebami.

Alisi, nie uszli i paru stajań, gdy w gaju oliwnym napotkali pijanego Ksenostyasa, który zataczając się, potracił wypadkiem ich pana, a nadto, jako to bywa często z ludźmi, którym Bacchos mózg zamącił, rzucił mu z pod nosa parę wymysłów bez związku. Pan uniósł się gniewem i począł się ogładać, ażali gdzie niema kija albo kamienia. Wtedy pod rękę nawinał mu się Ezop ze swoim ładunkiem. Pan chwycił dwa kamienie, co największe i najcięższe i cisnął je z rozmachem w pijanego, a Ezopa pochwalil za jego gorliwość i pilność.

Odtąd Ezop nie odstępował od boku pana, a zapas jego kamieni malał co chwila. Spotykano bowiem po drodze nie tylko pijanych i obłąkanych, lecz zawistnych, krzywdzicieli, oszczerców i tych wszystkich, którzy jawnie, czy z zapłota rzucają chętnie na innych kamieniem. Nie uszli też i dwóch stadyj, a kosz Ezopa był próżny, on zaś szedł pogwizdując, a pan jego musiał się już posługiwać tegim wylamanym w gaju kijem z oliwy.

...Kratjas tymczasem omdlewał pod ciężarem swych koszy, a białe jego chleby przybyły w całości do Delf na objętą bogom.

Niz.

zdanie i każdy niemal wyraz. W miarę, jak się rozwijało jego opowiadanie, wzrastało i moje zdumienie. Poprostu podobnie rozumnej odpowiedzi nigdy w tej szkole nie spodziewałem. Każdy okres był tak misternie zaokrąglony, każdy wyraz był tak czysto, dźwięcznie wypowiedziany, a całe opowiadanie było tak kunsztowne, tak logicznie przeprowadzone, że formalnie nie w niem nie można było zmienić, ani dodać, ani ująć. Patrzyłem więc tylko prosto w oczy opowiadającego, zasłuchany w muzykę wypowiedzianych przezeń słów, a on cichy, spokojny wcale tych swoich chabrowych oczu tak, jak to w podobnych razach zwykle czynią inne wiejskie dzieci, nie odwracał, nie chował. Mówił jaknajnaturalniej w świecie, wolno, swobodnie, mówił tak, jakgdyby nie zadana i dokładnie wyuczona lekcję recytował, ale jak gdyby z powagą starca opowiadał dawno minione i aż nazbyt dobrze znane sobie dzieje. Na twarzy jego nie malowała się ani chęć popisu, ani bojaźń przed popełnieniem omyłki. Skończył z tymże samym spokojem, co i zaczął i tylko zlekka ślicznie zaróżowione policzki świadczyły, że jednak w zupełności wzruszenia swego opanować nie mógł. Zbliżyłem się i zapytałem go o nazwisko. Odpowiedział również dźwięcznie i uwydatniając każdą sylabę, ale na jego czole odbił się jak gdyby cień namysłu, a w oczach błysnął znowu taki



Rys. oryg. T. Jaroszyńskiego.

## ZA CO?...

(Luźno wyrwana z życia kartka).

W wiejskiej, brudnej, szkolnej sali ujrzałem go po raz pierwszy. Był błydy, alabastrowy. Miał regularne, bardzo delikatne rysy twarzy, wysokie myślące czoło, pięknie wykrojone usta i oczy niebieskie, jak chaber. Odrazu zwróciłem nań uwagę, bo w jego spojrzeniu malował się taki jakiś głęboki, a cichy smutek, że czegoś podobnego nigdy jeszcze u działwy nie spotykałem. Mimowoli chciałem go o coś zagadnąć, chciałem jakgdyby instynktownie zajrzeć w głąb jego duszy, gdy wtem w oczach jego spostrzegłem jakiś dziwny, niespokojny odruch i zdało mi się, że on mój zbrodniczy zamiar odgadł i że się lęka i trwoży. Odwróciłem się pospiesznie i zapytałem, już nie pamiętam o co, kogoś z siedzących w przeciwległej stronie sali.

Ale pokusa nie ustąpiła. Po chwili zastanowienia, niby to opanowawszy swoje zaciekawienie, z twarzą najzupełniej obojętną zwróciłem się znowu w stronę intrygującego mnie chłopczyka i zlekka kiwnąwszy mu głową, kazałem sobie powiedzieć lekcję zadaną. Wstał, bardzo zgrabnie się uklonił i bez najmniejszego pomieszania począł mówić cicho, spokojnie, akcentując z wielką dystynkacją każde

jakiś płochliwie-podejrzliwy lęk, że się i teraz znowu mimowoli wzdrygnął. Zdawało mi się, że mu tem swoim pytaniem sprawiam jakąś nieznaną mi przykrość, i przeto oddaliłem się rzuciwszy mu za ledwie jakieś zdawkowe słowo zakończenia.

Tegoż dnia wieczorem rozmawiałem o nim, ze znającym go dobrze nauczycielem. Uśmiechnął się i oświadczył, że istotnie chłopiec to trochę *szczególny* a historia jego dość *osobliwa*. Ojciec był dosyć znacznym urzędnikiem, ale mając wiele, wydawał zwykle jeszcze więcej; dziecko opływało w dostatki, ale wychowując się na puchu, nie wiedziało, że je także i twarde czeka postanie. Dni szczęścia i jasnej doli minęły szybko, a skończyły się bardzo tragicznie. Ojciec, gdy mu uczciwie zapracowany pieniądz nie wystarczał, zrobił malwersację, która go zawiodła aż hen w śniegi syberyjskie; dziecko, gdy mu i rozpaczonej matki zabrakło, dostało się w ręce dziadków, także już teraz nędzarzy, którzy je karmili ostatnim kawałkiem chleba odjętego sobie od ust.

Taka to historia i takie stosunki chłopca domowe. A w szkole?... W szkole uczył się wyśmienicie. Wyjątkowo zdolny, dawał zwykle wyjątkowo świetne odpowiedzi. Wyjątkowo dobrze wychowany był wzorem pilności i uwagi. Podczas tłumaczenia lekcji wsłuchiwał się chciwie w każde słowo, a jego rozumne oczy świadczyły o rozbudzonej na



wiek myśli. Wogóle uczenie go stanowiło do pewnego stopnia przyjemność, bo widziało się konkretny rezultat nauki tuż zaraz. Smutne było tylko to, że w żaden sposób nie mógł się żyć z kolegami. Jaskrawo wyróżniając się z pomiędzy nich, nie zadawał się prawie wcale z uczniami, ale właśnie może dla tego ustawicznie mieli do niego jakieś daleko sięgające pretensje, które zwykle realizowały się ostatecznie dopiero na jego plecach. Póki był w szkole, to jeszcze pół biedy. Ciągła prawie obecność nauczyciela zabezpieczała go przynajmniej przeciwko wszelkiego rodzaju szturchańcom. Ale niechno się sam na sam z nimi znalazł!... Pomimo surowych upomnień, nie dali mu nawet spokojnie przejść drogą. Bez opieki starszych nie mógł ani przyjść do szkoły, ani ze szkoły wracać do domu. W mróz i słotę musiała prowadzić go do szkoły o kijku ledwie włócząca nogi babka-staruszka; w mróz i słotę można było ją widzieć, jak skulona, przykucnąwszy gdzie w zacisznym miejscu pod parkanem, czeka na swojego ukochanego wnuka, na swoją jedyną pieszczotę. Litość bierze, gdy się wspomni o tym jej poniewolnym dwa razy dziennie przeszło dwuwiorstowym, — bo

nik. Zapatrzony w ciemną głębię rozrzuconych na przeciwległym brzegu jeziora lasów, zdawał się on dumać i marzyć. Mimowoli, korzystając z wystającego właśnie w tym miejscu parkanu przylegającej do jeziora posesyi, ukryłem się z brzydkim, muszę wyznać, zamiarem szpiegowania go. Chłopiec widocznie mnie nie spostrzegł, bo po paru krótkich chwilach obejrzał się wokoło, skierował swoje kroki w stronę tuż leżącego kamienia, z wolna usiadł na nim, skrzyżował swoje drobne rączki nad głową, i znowu po przez jeziora pogonił wzrokiem w tę ciemną tajemniczą dal, hen tam gdzieś na horyzoncie niknących w przestworzach lasów. Już myślałem się z kryjówki mojej wychylić, gdy naraz po drugiej stronie parkanu usłyszałem zbliżające się kroki i głosy chłopców. Szli szybko, prowadząc dosyć ożywioną gawędę i dopiero, gdy zauważyli siedzącego na kamieniu zakonnika, stanęli.

— Patrzcie — zawołał któryś z nich półszepetem: — zakonnik...

— Tak?... — podchwycili dwaj drudzy: — to chodźcie, to damy mu kopsa...

I z szybkością rączych jeleni pobiegli...



Kardynał Rampolla (według portretu F. Laszlo).

w takiej odległości od szkoły mieszkali, — spacerze, ale jednak innego środka na zabezpieczenie chłopca przed mniej lub więcej dotkliwymi dlań figlami kolegów znaleźć nie było można. Próbowałem już, tak mówił nauczyciel, wszelkich sposobów, może teraz ksiądz dobrodziej potrafi na nich pod tym względem wpłynąć zbawiennie.

Uspokojony dla interesującego mnie malca już i tak nader przyjaźnie, naturalnie że szczerze postanowiłem zająć się tem, lubo wkrótce przekonałem się, że istotnie sprawa to wcale nie łatwa. Brzydka niechęć chłopców do zakonnika, gdyż tak go ogólnie podobno z powodu noszenia przezeń, długiego granatowego paltocika nazywano, zapuściła swe korzonki w serca ich bardzo głęboko. Spłatać mu jakiego figla była to dla nich rozkosz niezmierna.

Raz, gdy samotny spacerowałem nad brzegiem okalającego naszą wioskę jeziora, odświeżając zmęczony wzrok blaskiem kąpiących się w przezroczym wodzie promieni słońca, zdarzyło mi się trafić na jedną ze scen, charakteryzujących te przykre stosunki chłopców bardzo dobitnie.

Opodał na niewysokim wzgórku stał zakon-

Zanim zdążyłem ze swoją interwencją wystąpić, już biedny zakonnik nie siedział, ale leżał. Gdy się zbliżył, łobuzów już nie było, a on z zacerzowaną twarzą porządkował swoją mocno potarzoną garderobę, skrzętnie zakrywając poderwaną klapę paltocika. Nie płakał, dopiero kiedy, pocieszając go, począłem głaskać po twarzy, w piersi jego odezwało się jakieś długo tłumione łkanie, usta wykrzywiły się od bolesnego spazmu, a z oczu popłynęły lzy gęste, ziarniste, jak grad. Chciał coś mówić, chciał coś opowiadać, ale spazmatyczny płacz nie pozwalał mu i zaledwie przy całym swoim wysiłku zdołał wykrztusić „ja nie... nie... wiem, oni mnie tak nie lubią... ja nie... nie... wiem, za co oni mnie tak nie lubią?...“ Długo musiałem go uspokajać, długo musiałem mu tłumaczyć, ale on jakby z niedowierzaniem smutno tylko potrząsał głową i gdy go do domu odprowadził, żegnając mnie, spojrział mi w oczy temi swojemi smutnymi oczętami tak jakoś dziwnie, jak gdyby mnie znowu zapytywał: „oni mnie tak nie lubią... ja nie wiem, za co oni mnie tak nie lubią...“

Rozstawszy się z nim, długo jeszcze spacerowa-

walem i długo jeszcze myślałem i o tem, że oni go tak nie lubią, i o tem, za co oni go tak nie lubią...

Ks. Al. Syski.

KONIEC.

## PODRÓŻ DO WARSZAWY na Sejm 1809 r.

Wyjątki z dziennika L. Szczanieckiego.

(Dokończenie).

14 marca. Dziś na sesji sejmowej była dyskusja między posłami czy radzcy stanu, którzy nie są objęci w konstytucji, mogą być przypuszczeni do wotowania porównano z ministrami, którzy podług konstytucji składają jedynie Radę Stanu. Obawiano się, aby ich liczba nieograniczona nie powiększyła się do liczby, przewyższającej liczbę posłów. Król zaspakajając niespokojność sejmujących wydał dekret, przez który ogranicza liczbę radzców stanu.

15 marca. W Izbie poselskiej komisya prawodawstwa cywilnego przedstawiła projekt do tegoż prawodawstwa, który wraz z Radą Stanu umodyfikowała. Wnioski projektu oparte na niektórych odmianach i przystosowaniach do naszego kraju kodeksu Napoleona. Szczególniejszy zaś wniosek był ten, aby skasować wszelkie szportle, czyli opłaty sądowe, wybierane sposobem dotąd używanym; na to miejsce zaś, aby ustanowić stemplowany papier, który do wszystkich czynności sądowych byłby używany z takim stemplem, jaki wymagają ekspensa sądowe. Przez to zapobiegłoby się arbitralności pozostawionej osobom sądowym. Te wszystkie wnioski były przyjęte przez sejm przez wota tajne; przeciwnych było bardzo mało.

16 marca. Dziś wnieśli komisarze prawodawstwa kryminalnego czynności swego wydziału, które choć się tyczą wolności i życia ludzkiego mniej przeciw ściągają uwagę, bo każdy zachowuje ją na jutrzejszą sesyą, która ma traktować o worku. W prawodawstwie kryminalnem poczyniono modyfikacje w karach i inne małe odmiany. Dzisiejsze projekta były również przyjęte wielką większością głosów.

17 marca. Komisya skarbowa dziś przedstawiła swe czynności, z tego powodu tak było wiele spektatorów i arbitrów obojej płci, iż ganki i cała sala sejmowa nie były dostateczne na pomieszczenie ich. W projektach było naprzód utrzymanie dotychczasowych podatków, podwojenie 24-go grosza, powiększenie podymnego zaciągnięcie czopowego na wsie i t. p. Posłowie przekonani o potrzebie kraju zezwolili na wszystko z małemi odmianami.

18 marca. Mówcy z rady stanu mający mowy stosowne na każdej sesji przedstawiali ogólny stan skarbu, perceptę i expens kraju. Komisarze mający jedynie prawo mówienia, dali uczuć radzie stanu nieukontentowanie całego narodu we względzie ich postępowania, wyrzucając bez ogródki ministrom ich błędy, a wystawiając im iż obywatele nie szczędzą ofiar wkładając większe podatki na siebie. Również wystawiając niesprawiedliwości komisji żywności, zmusili prezesa rady stanu do złożenia urzędowania.

19 marca. Jak zwyczajnie w niedzielę, byłem rano na pokojach u dworu, jako i na wieczór na cyrku. Dziś w dzień imienin cesarzowej Józefiny dał tu bal pan Sereu rezydent francuzki przy Księżtwie Warszawskiem i Gdańsku. Iluminacya powszechna zakończyła ten dzień.

20 marca. Na obradzie sejmowej przyjęto kodeks handlowy francuzki z niektórymi odmianami.

21 marca. Projekt względem bicia monety, stosownej do saskiej, był nieprzyjęty i odrzucony od sejmu.

22 marca. Wszystkie obrady sejmowe dotychczas jak najspokojniej się odprawiały. Dziś pierwszy raz były cokolwiek burzliwe, a to z powodu radzcy stanu p. Linowskiego, który w swym głosie, jednym słowem, dwojakie znaczenie mającemu uraził był posła z powiatu marienpolskiego. Za tym izba ujmując się żądała ustąpienia p. Linowskiego z izby, niechcąc kontynuować dalszych czynności. Uwiadomiony o tem król przysłał w deputacji senatora Potockiego, który przez swą wymowę uspokoił izbę, każąc pójść radzcy do króla dla tłumaczenia się.

23 marca. Dziś była uchwalona opłata od wszelkich arend, patentów rzemieślniczych, orderów i t. d. Była to ostatnia sesya sejmowa.

24 marca. Po ukończonym sejmie dziś po nabożeństwie zebrał się senat w przytomności N. króla, siedzącego na tronie, do którego miał najprzód mowę prezes, poczem król wysłał dwóch senatorów na wezwanie Izby poselskiej do połączenia się z senatem. Co gdy się uskuteczyło, miał mowę król żegnając naród; na co odpowiedział marszałek składając łaskę



Portret mężczyzny w stroju polskim, według tradycji przedstawiający wizerunek Sobieskiego,  
malowany przez Rembrandta,  
Oryginał znajduje się w galerii Ermitażu w Petersburgu.

marszałkowską. Poczem przystąpili posłowie do pocałowania ręki N. pana.

25 marca. Król ma wyjechać do Drezna w niedzielę 26-go.

Wszelkie wiadomości jako i gazety donoszą, iż pewno i niezabawem wybuchnie wojna z Austryją. Nasze wojska są w pogotowiu. W Galicyi zbiera się 30,000 austryaków pod arcyksięciem Ferdynandem, w Czechach pod arcyksięciem Antonim, a największa armia pod arcyksięciem Karolem we Włoszech.

Pospolitemi zabawami są tu wieczory, które codzień w tygodniu gdzieindziej bywają. Teatr narodowy i francuzki należą też do regularnych i codziennych rozrywek. Obiady proszone są częste; podczas sejmku bywały dla samych posłów u marszałka Ostrowskiego. Śniadanie zaś królewskie dla posłów u Bronca, marszałka pałacu.

Co zaś do życia partykularnego schadzamy się w trzech miejscach t. j. 10 u Rosengarta à l'hôtel de Wilna, gdzie chcąc jadać trzeba obstałować. Wszyscy razem jedzą u table d'hôtel za jedną ogólną cenę talara na osobę. 20 u Gąsiorowskiego w hôtel d'Angleterre, gdzie można jeść co się chce i za cenę jaką się chce. 30 u Neumana, w sobotę szczególnie chodzą tu na pierogi. Nader tanio gdyż po 3 zł. polskich porcja.

Przedtem za polskich czasów było stojących na ulicy remiz 300, a teraz ich jest 60 i to jeszcze nie stoją na ulicy, tylko je w domu trzeba najmować. Jest tu wprawdzie kilkaset koczyców jednokonných, dryndulami zwanych, ale te tak są pospolite, iż do parady ich nie można używać.

Szkola prawa, nowo ustanowiona w pałacu ministra sprawiedliwości, dużo się pomnaża.

Szkola militarna, nowo założona w arsenale również się zwiększa.

Most nowo postawiony na palach, który woda zerwała, jest bardzo piękny. Stawiają obok tego nowy na łyżwach dla komunikacji z Pragą. Fortyfikacje pragskie jako szance przedmostowe są ukończone.

Bruki w Warszawie były złe, lecz teraz jeszcze gorsze. To są główne odmiany, które się poczyniły od mojej niebytności w Warszawie.

Na pierwszy odgłos wojny z pierwszej tutejszej młodzieży bardzo wiele już poszło na prostych żołnierzy, między nimi wielu z moich znajomych, którzy mnie zachęcają do tego czynu.

26 marca. Dnia dzisiejszego rano opuścił król naszą stolicę.

27 marca. Mając w czwartek wyjechać, kupilem tu powózkę z koniem jednym i całym zaprzęgiem rosyjskim. Powózka jak najporządniejsza z okuciem i rzeźbą snycerską nie kosztuje mnie więcej jak 4 talary.

28 marca. Przed wyjazdem umyśliłem odwiedzić przynajmniej najznacznějšíe miejsca w okolicy Warszawy. Wziąwszy tedy dorożkę pojechałem w towarzystwie jednego przyjaciela przez Nowy-Swiat koło koszar ujazdowskich do samego Ujazdowa, gdzie jest pałac letowy, do którego ciągnie się od samego miasta piękna aleja. Tu z tą pojechaliśmy do Mokotowa, gdzie się znajduje książęcej Lubomirskiej pałac z pięknym ogrodem w położeniu przyjemnym. Park angielski jest dość dobrze ułożony, ma szczególnie piękne grupy skaliste przy spadkach wody. Widok na Łazienki i płaszczynę Wisły jest dość przyjemny z terasy. Z Mokotowa przyjechaliśmy do Królikarni, gdzie ozdobny z wierzchu pałac, stojący również na wzgórzystości doliny Wisły, daje piękny widok na jej brzegi i jej okolice jak to na Czerniaków, na Sulec, Wilanów i t. d. W ogrodzie dolina jest dosyć przyjemna. Nakoniec pojechaliśmy do Wilanowa oddalonego o milę od Warszawy, a należącego do wojewody Potockiego. Tu stanęliśmy w oberży dla popasu, bo była godzina obiadowa. Wilanów jest to siedlisko tego bohatera, co pod Wiedniem ocalił chrześcijaństwo całej Europy od jarzma i więzów bisurmanów. Tu przesiadywał Sobieski, tu też zakończył swe chwalebne życie. Poszedłszy (sic) do zamku oprowadzono mnie tak po królewskich jeszcze pokojach, jako i po nowo urządzonych mieszkaniach w których tak gust jako i sztuki panują. Znalazłem tam bibliotekę mającą dosyć manuskryptów, galerie obrazów, kopie z najslawniejszych galeryów i najslawniejszych malarzy wszelkich szkół. Pomijam przecie to wszystko sądząc dosyć na tem, gdy powiem, że widziałem pokój w którym zakończył swe życie wielki Sobieski.

29 marca. Mając wyjechać w nocy pooddaliśmy pożegnania.

30 marca. O północy wyjechaliśmy t. j. ja, poseł Bojanowski z bratem i Morawski nasz kuzen, a najmłodszy brat referendarza. Jednym powozem i powózką, swemi końmi stanęliśmy przededniem w Błoniu o 4 mile od Warszawy. Równo z wschodem słońca ruszyliśmy z Błonia ku Sochaczewu traktem, którym przed dwoma laty jechałem. Nieznajdząc na gościńcu nie do jadła prócz jaj i trochę maki, musieliśmy się kontentować grzybkiem, któryśmy z tego uprzyżyli sobie, nie mając ani kucharza, ani żad-

nych prowiantów. Po takim obiedzie będąc już oddaleni od Warszawy na siedm mil, wyjechaliśmy z Sochaczewa i udaliśmy się traktem nie ku Łowiczowi, ale prościej drogą na Kiernozie miasteczko nie warte tego tytułu. Żychlin miasteczko podobne do poprzedniego było miejscem noclegu naszego 14 mil od Warszawy.

31 marca. Z Żychlina mieliśmy bardzo piękną sypaną drogę na kształt zosy, które teraz usuto aż do samego Kutna. Nie opisuję szczegółów tej drogi, gdyż dawniej jadąc tędy bliżej się rozpisalem, a potem jadąc nagle nie mieliśmy czasu do robienia uwag. Pominawszy Kłodawę, stanęliśmy na noc w Babiaku stacyi oddalonej od ostatniego noclegu o 11 mil. Tu znaleźliśmy choć u żyda wszelką wygodę, szczególnie moi koledzy będący w lepszym zdrowiu niżli ja.

1 kwietnia 1809. Przed wschodem słońca wyjechaliśmy z Babiaku i przejechawszy Simpolno stanęliśmy w Slesinie, gdzie jako w wielką Sobotę posłaliśmy do kościoła dla nawiedzenia grobu Pana Jezusa. Na cmentarzu kościoła zastaliśmy pełno chłopków palących ciernie, które jak mówili gdy się opali pozatykają na polach dla urodzaju, lecz nie wiedzą z jakiego powodu ten skutek ma pochodzić. Gdym przestrzegał lud, aby od tego ognia kościół się nie zapalił, taki gniew na siebie tych ciemnych chłopków ściągnąłem, iż kazali mi uciekać, aby ten ogień mnie nie spalił, jako bluźniercę, utrzymując iż święte miejsce nie może się od tego ognia zająć. Nieporządek i niewygoda, którąśmy uczyli tu na gościńcu z przyczyny żydów gościnnych do niecierpliwości nas przyprowadziła. Przejeżdżając przez Kleczew widzieliśmy tylko szczątki tego miasta dość obszernego, które przed niedawnym czasem w perzynę zostało obrócone. Po naszym trakcie znajdowali się wiele miast spalonych. Nie wiem co za przyczyna tak częstych pożarów w naszym kraju!

Dzień dzisiejszy (prima Aprilis) jest uprzywilejowany dla kłamców w którym wolno każdemu zwodzić. Nas, nie miał ktoż zwiesić, ale zwiędły konie, a to w ten sposób. Widząc iż tak tego jedziemy swemi końmi (przez dwa dni 26 mil) byliśmy pewni że dziś niemi staniemy w domu. Lecz konie tak nam ustały iż musieliśmy stanąć w Słupcy. Chcąc jednak uskuteczyć nasze przedsięwzięcie, zostawiliśmy tu konie, a zwiąwszy pocztę, która jak pospolicie w Polsce jest bardzo biegła, upadliśmy przez 5 godzin 5 1/2 mili i przewioźliśmy się na Lubrze \*) przez Wartę stanęliśmy w nocy w Boguszynie wsi należącej do mego ojca. Chcąc koniecznie stanąć w domu z powodu jutrzejszego święta Wielkanocy, wzięliśmy w Boguszynie świeże konie i stanęliśmy rano w Międzyzgodzie. Moich rodziców nie zastaliśmy, gdyż byli na rannem nabożeństwie. Poseł Bojanowski pojechał więc do swych rodziców, a ja z p. Morawskim zostałem w Międzyzgodzie.

Zofia Hartlingh.

## NIE WÓDZ NAS NA POKUSZENIE.

OBRAZEK.

(Dokończenie.)

Nakoniec z ulicy oświeconej płomykami gazu wysunęła się oszklona karetka tocząc się gładko i cicho na gumowych kołach, i przystanęła przed bramą; — za nią poszła druga i trzecia, i dziesiątki innych. Przed oczami zaciekawionej gawiedzi ulicznej przemknęły jasne widzenia szeleszczące jedwabiami, sięjące dokoła snopy brylantowych blasków, mężczyźni w cylindrach zapięci pod szyję w ciepłe bobrowe palta... a wszystkie twarze były promienne i uśmiechnięte akby rytm walca płynący z góry wesołem poruszał takt serca.

Żegnano karnawał, okres szaleństwa dla bogatych i wesołych, wyprawiano mu też wesołą stypę!

Mateusz stał i patrzył a gorzkie myśli i porównania napływały mu do głowy. Mocny Boże! to jeden szmat tych tam oto koronek wlokących się po wyfroterowanej posadzce a zahaczanych co chwila obcasami tancerzy, starczyłby aby jego wraz z całą rodziną wyrwać z nędzy! Tym, którzy tam śmieją się i weselą, którzy przy stole spożywają zamorskie specjały — wychylając kielichy piąniącego wina na cześć gospodarzy — czy nie przychodzi nigdy na myśl, że opodał ludzie mru z głodu i zimna w tę czarną noc grudniową poprzedzającą świtanie jutra bez nadziei!...

Stał i myślał... kiedy naraz przed nim mignęła w poprzek ulicy postać męzka szybko zdążająca ku bramie. Przechodzień sięgnął po chustkę do kieszeni i jednocześnie jakiś przedmiot wypadł z niej ry-

\*) Lubrz pod Nowem Miastem. R. 1656 kasztelan kaliski zbił 1000 szwedów pod Lubrzami czyli Lubrzem i komendanta ich zabił Wrzeszczowca najeźdźnika kościołów i dworów, jak mówi Paprocki O. S. R. P.

sując się czarną plamą na śniegu. Nieznajomy znikł w oświetlonym przedsiönku, a Mateusz schylił się machinalnie aby podnieść uroniony przedmiot.

Obejrzał go... chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle... W rękę trzymał skórzany pugilares ozdobiony monogramem i srebrną koroną.

Pociemniało mu w oczach; w głowie uczuł straszny zamęt.

Postąpił krok naprzód ku bramie... i zatrzymał się.

— Złodzie! — szwisnęło mu w uszach zimne technienie wiatru, a pod tą obelgą, jakie rzuciło mu sumienie, krew uderzyła mu do głowy, znowu poruszył się automatycznie aby iść odszukać właściciela zgubionego pugilaresu, kiedy nagle wydało mu się, że tenże sam powiew wichru niesie mu zdaleka lkanie głodnych dzieci i jęki umierającej matki, — i moc jakaś n eznała spętała mu nogi.

— Złodziej! — szepnął sam do siebie, hartując się przeciw własnemu sumieniu. — Złodziej... Ha! niech i tak będzie... Kto mnie uczciwego dotąd uczynił lotrem? Ludzie bez serca i litości, którzy jak psa głodnego odpędzali od drzwi, gdym błagał o pracę i ratunek... Ludzie którzy zatruli mi w sercu wiarę w Boga litościwego na niebie... w siły własne... w sprawiedliwość na świecie... we wszystko!... Ludzie!... bez człowieczeństwa w piersi...

Nacisnął hardo czapkę na głowę, ukrył pugilares w zanadru i znikł w ciemnym i pustym zaułku.

Biegł szybko przed siebie, aż w końcu przystanął pod samotną latarnią i obejrawszy się czujnie dokoła czy go nikt nie widzi, wyjął ostrożnie pugilares i jął przeglądać jego wnętrze.

Sturubłówka tęczową barwą mignęła mu przed oczami... potem druga, trzecia... Zaczął liczyć trzęsąciami jak w febrze rękami, i doliczył piętnastu... Pociemniało mu w oczach... musiał się wesprzeć o słup. Twarz jego drgała konwulsyjnie... zęby szczękały głośno... Półtora tysiąca!... To chleb i zdrowie dla dzieci... to ojcowizna odkupiona z rąk niemców... to był dodatni i spokój na resztę życia... Tu coś szarpnęło go za pierś... Spokój?... a sumienie... sumienie nie splamione dotąd cudzą krzywdą?... Czyż da mu ono ten pożądany spokój?...

Ha! stało się... Byłby szalonym gdyby odtrącał ratunek, który los kładł mu w ręce. Każdy inny nie zawahałby się ani chwili. Był uczciwym i marł z głodu wtedy, gdy inni nie obarczeni tem głupiem sumieniem opływali w dostatki.

Zresztą.. stało się...

Z jednej z przegródek pugilaresu wyjął trzyrubłówkę, wstąpił do szynku, kupił butelkę wina, wędlin, bułek; kazał to sobie zawinąć w papier... potem zażądał jeszcze gorzalki i wychylił haustem dwa kieliszki, jeden po drugim... ot! żeby zalać robaka. Jakoś raźniej mu się zrobiło na duszy i zamroczyło trochę w głowie, a tego chciał. Przystanie może myśleć... a na dyabła teraz zdało się myśleć. Stało się... Był złodziejem... Bo to on pierwszy? Albo to warto być uczciwym w świecie gdzie uczciwość tak źle popłaca?

W miarę jak się zbliżał na przedmieście zwalniał kroku. Wódka przestała działać i było mu jakoś... nieswojo. Wszedł do izby chłodnej, przyciemnionej jak zawsze; w progu przystanął, aby jak zwykle pozdrowić swoich boskiem słowem: Pochwalony... ale mu jakoś słowa uwięzły w gardle. Wydo stał nawpół paczkę... i wsunął ją napowrót do kieszeni. Przeszło mu przez myśl przyznać się żonie... ale nie śmiał. Wiedział, że uczciwą kobietę przejąłby grozą jego postępek. Usiadł więc na zydlu w ciemnym kącie i milczał.

Cała radość pierwszej chwili odpadła go nagle. Małgorzata krzątała się cicho po izbie, spoglądając ukradkiem na męża. Taki jej się wydawał dziwny. Staruszka jęczała na łóżku, przesuując chudemi palcami kokosowe ziarnka różańca i od czasu do czasu wołając... pić... Jemu rwały się ręce aby gorączkę tych spieczonych ust ugasić winem, ale nie śmiał. Cóż odpowie, kiedy go zapyta, zkąd wziął tak drogi napój? Przed matką przecie nie mógł kłamać...

A dzieci... Czyż te głodne, niewinne usta nakarmi chlebem kradzionym? Czyżby on im poszedł na zdrowie? Więc na cóż mu się zdały te pieniądze, jeżeli jego najbliższym nie przyniosą żadnej ulgi?

Och! jak one go paliły na piersi — te pieniądze!

W izbie uciszyło się. Ustało miarowe chybotanie kołyski a matka z dziećmi ukłękła przed obrazem, aby odmówić wieczorne pacierze. Mateusz zwykle klękał razem z nimi i tym razem wstał... ale usiadł napowrót... Nie mógł się modlić. Uderzył się machinalnie w piersi; skradzione banknoty zaszeleściły pod wytartą kapotą, a jego zdjął lek jakiś nieznan. Nie.. nie mógł się modlić. Usiadł i myślał.

Raz spojrzął w stronę obrazu, nad którym mdłe światelko czerwonej lampki roztaczało krąg

światlisty i wydało mu się, że ta Matka Najświętsza z oczu której patrzyło tyle miłosierdzia, odwraca teraz od niego zasmucone oblicze.

I spuścił oczy ku ziemi.

A dzieci zapatrzone w obraz odmawiały ze złożonymi rękoma *dziesięcioro*:

— „*Nie kradnij*“... obiło się o słuch Mateusza, a jego jak rozpalonem żelazem żgnęło po sercu. *Nie kradnij* zdawał się huczeć wiher. tłukący śniegiem o szyby i niosący mu jakby z dalekich grobów i pół rodzinnych przestrogi ojca i wspomnienia niewinnych lat dziecięcych. *Nie kradnij*, wtórowało echo zbudzonego nagle na dnie serca sumienia.

Głowa jego coraz głębiej opadała na piersi; zimne krople potu występowały na czoło. A czyste, dziecięce głosy kornie zwrócone ku niebu, szepotały cicho jakby chcąc oddalić niewidzialną moc złego ducha:

...*I nie wódz nas na pokuszenie, ale nas zbaw odezłgo. Amen.*

— Nie wódz nas na pokuszenie! — wielkim głosem ryknął Mateusz i twarzą przypadł do ziemi. — O! ratuj Ty mnie, Najświętsza Panienko, i ustrzeż od pokusy szatańskiej! Zwróć mi uczciwość moją i czyste sumienie! Jako ja błogosławię owocowi żywota Twojego, tak i Ty błogosław dzieciom moim, i gdy mnie na świecie nie stanie, zaopiekuj się sierotami, a grzeszną duszę moją przyjmij napowrót do swej łaski!

Schwycił czapkę i wybiegł z izby.

Niebo było czarne, gdzieniegdzie zaledwie iskrzące się gwiazdami, a mroźny wiher białą zawięję zrywał na dworze. Tumany śniegu szalały rozpasane po ulicy, tamując oddech na ustach, lodem osiadając na piersi, oslepiając oczy, szumem i świstem napełniając uszy. Noc piekielna i czarna, taka jaką sobie obierają duchy potępieniów aby harce wyprawiać po świecie. Mateusz nie widział o dwa kroki przed sobą. Wiatr rozchełstał mu kapotę na piersi, nogi ugiwały się pod nim, wnętrzności kurezyły z głodu. Biegł jednak, pasując się ze śnieżycą, torując sobie po omacku drogę wśród zasp i wybojów, staczając się nieraz w rynsztoki, biegł, skostniały, głodny, wyczerpany... byle tylko stanąć u celu... byle co prędzej oddać te przeklęte pieniądze... Aby choć dotrzeć do miasta... byle nie ustać w drodze... Boże!... Boże!... dodaj sił!... Ale nie... już go nogi nie poniosą dalej... Musi spocząć pod tym oto drzewem... musi... A jutro odnajdzie tę kamienicę... tego pana... jutro...

Cóż to za światelko takie jasne, złociste płynie ku niemu z góry?... Jezusieńku!... Dyć ta lampka, co się tam pali w ciemnej izbie przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej... pali się łzami... żarzy bólem krwawym tych serc, które tam z pokorą, żebrzą o ratunek... A Matka Najświętsza zbiera te łzy niby perły... i ten ból obejmuje miłościwymi ramionami... i przyciska sobie do matczynej serca, z którego tryska ten potok błogosławiącej światłości...

Dziwy!... dziwy!... Toż to Matka Boska płaszczem swoim, utkany z gwiazd i tęczy, otula go przed zawieją... i puchy jakby z piór anielskich strząśnięte, uściela mu pod głowę... Już mu ciepło... O! tak ciepło... błogo... senno... Tylko strudzony... strudzony bardzo, bo przeszedł daleką, daleką drogę... z piekła do raj... Przez morze łez, manowce grzechu... przez ognie pokus... do raj... Ot już tam przed nim otwierają się złociste wrota...

Cóż to za dzwony grają tak spiżowo w powietrzu?... Nie... to rozspiewane harfy anielskie zwiastują nędzarzom królowanie Boże... światający dzień pokoju, zmiłowania, jasności wielkiej... Idzie już, idzie Pan chwały w majestacie swoim, i błogosławiące ramiona rozciąga nad światem, a przed Nim pierzchają ciemności, nędza i rozpacz czarna... Idzie... i miłosiernym ruchem wzywa go do siebie...

Jeszcze krok.. krok jeden tylko, a przypadnie mu do stóp... Ale nie... niema sił... musi spocząć... Chwilę... chwileczkę tylko.. i zaraz pójdzie... Tylko odda te przeklęte pieniądze... i pójdzie...

Przyłożył głowę do kamienia i zasnął... na wieki...

## Z ruchu muzycznego we Francji.

Paryż nie jest miastem muzycznym jeżeli chodzi o pietyzm dla muzyki. Niedawno nawet jeden z wybitnych muzyków tutejszych powiedział mi wielce znaczące zdanie, że „Paryż jest pod względem muzyki ostatniemi miastem w Europie.“

Tak źle nie jest, ale stosunkowo do rozwoju innych sztuk muzyka jest tu traktowana zbyt lekko i powierzchownie, a że szowinizm francuski nie chce znać nawet artystów obcych zadawalniając się własnymi tylko siłami, dobór artystów jest bardzo mierny.

Właściwie owa mierność polega przedewszystkiem u śpiewaków na pospolitości głosu, uczeniu się jak kanarki ary i aryjek, śpiewanych poprawnie nawet błyskotliwie pod względem technicznym, ale zimno, bezdusznie i dziwnie jednako przez wszystkich.

Winną tu jest owa metoda konserwatorium paryskiego, polegająca na wyrobieniu bezdusznego me-

chanizmu, z pominięciem zrozumienia i odczucia.

Toż samo widzimy u pianistów i skrzypków: sprawność olbrzymia nieraz, gra biegła, czasami żywa nawet, ale jakaś drewniana, bezuczuciowa.

Zdaje się grają świetnie odrobione automaty.

Jednak co roku spada na Paryż istna powódź koncertów, przyjeżdżają największe talenty świata, aby mieć na przyszłe *tournee* ową śmieszną sankeję „grania w Paryżu“.

Śmieszna powtarzam, bo francuz nie zna się na muzyce, lubi okrągłutkie melodye, które, przeciągając nuty i łącząc wszystkie fermatami, nuci jednolitym głosem, bezbarwnym. W tym roku jak zwykle, koncertów wybitnych sporo.

Z powodzi tej zaznaczą przedewszystkiem te, które daje Schola Cantorum

Jest to niby secesyjne konserwatorium, doskonałe prowadzone, oparte na poważnych klasycznych studiach, gdzie Bach, Beethoven, Mozart, starzy mistrzowie jak Rameau, Sulli, panują wszechwładnie.

Schola urządza koncerty, a są one tem cenniejsze, że prezentują publiczności uczniów i uczennice bądź w partyach solowych, bądź w wybornej orkiestrze i doskonałych chórach.

Rzecz prosta, że odpowiedziane partye solowe śpiewają wybitni artyści zaproszeni specjalnie.

Z ostatnich koncertów notuję przepyszne wykonanie dzieł Jana Filipa Rameau, głównie zaś fragmentów z opery jego „Kastor i Pollux“, gdzie królował świetnym swym głosem, odczuciem i rozumieniem partyi młody artysta p. Ludwik Frölich, duńczyk. Operę tę wystawiono wogóle po raz pierwszy w 1737 r. Muzyka to powiewna, tragiczna chwilami, przechodząca w lekkie szepcił miłosny, powiewny, eteryczny, jaki Rameau umiłował nadewszystko.

W szeregu kantat Bacha wykonanych w Scholi zaznaczam przepyszne dzieło „Austiefer Noth schreie ich zu dir“ z prześliczną uwerturą i arją tenora.

W Scholi też produkował się świetny tercet Alberta Zimmera z Belgii, który odegrał trzy arcydzieła Mozarta: kwartet i uroczę trio (Mibemol majeure) oraz precudowny kwintet z klarnetem, gdzie taką poezją wieje natchnione „larghetto“ i taki powiewny przesł czynny przewija się menuet.

Scholę polecam uwadze muzyków przybywających do Paryża, bo jest prowadzona wybornie, a dyrektor jej Vincent d'Judy dokłada wszelkich starań aby utrzymać godność i powagę wszelkich przybytków muzyki.

Drugą instytucją hodującą zazdrośnie wielką muzykę jest „Nove Towarzystwo filharmoniczne“, gdzie występowały w ostatnich czasach tacy artyści jak L. Frölich, trio George Schumana (znakomicie odegrali trio Beethovena i sonatę Schumana), dalej świetny, subtelny kwartet wokalny z Manheimu, w którym odznacza się zwłaszcza pani Bopp-Glaser; wreszcie miłe i dobrze zgrane trio trzech siostr Chaigneau.

Z pianistów należy się wspomnieć o p. Haraldzie Bauer, artyście dużej miary, nie zbyt efektywnym może, ale grającym z wielkim zrozumieniem, z tą inteligencją tak rzadką u artystów dzisiejszych, że każda nuta jest obmyślana i ma swe uplastycznienie i znaczenie.

Colonne dał dzisiaj arcydzieło Schumana „Fausta“.



Okrucieństwa tureckie w Macedonii: Fotografie wystawione w sklepach salonickich i monastyrskich dla wzbudzenia grozy wśród ludności.

## KRONIKA MODY.

(L. N.) Pomimo wiecznego utyskiwania na ciężkie czasy, które u nas w Warszawie daje się słyszeć wszędzie i na każdym kroku, niedawno ubiegły karnawał miał świetne swoje chwile, w których przejął się w całym blasku już nietylko wytwornej elegancji, ale wielkiego istotnego zbytku tuiet, klejnotów, całego otoczenia i t. d.

Panie nasze, oczywiście te wybranki losu, a pokazuje się, że ich jest bardzo, bardzo wiele — jaśniały, promieniały jakby ruchome słońca od klejnotów, zło-



Fig. I.

ta, najkosztowniejszych starożytnych materyi, ujętych w ramy doskonałego, wykrintnego gustu i dosyć było zobaczyć choćby tylko te dwa wielkie bale: ten „na Zamczysku“ i ten „kostiumowy.“ oba w murach „Doliny,“ by sobie zdać sprawę, że mamy się w co ustroić i że posiadamy w wysokim stopniu zmysł artystyczno-dekoracyjny, zastosowany do naszych własnych postaci.

Czego tam nie było!

Co za dobór barw, harmonijnych linii, jaka subtelna umiejętność wyzyskania najdrobniejszych, mogących podnieść wdzięk naturalny szczegółów, jednym słowem, na dwóch choćby tylko tych balach Warszawa zdała egzamin wszechwiedzy tuietowej i sięgnęła raz jeszcze po palmy akademickie. Brawo Warszawa!

I oto jak wszystko, tak i śliczny karnawał usnął się w krainę niepowrotnych cieni, obdarzywszy jednych szczerem weselem, drugich przesytem lub niesmakiem, przestał być, ustępując miejsca poważnemu u nas postowi.

Pierwsze dwa tygodnie tego nowego sezonu odznaczają się zupełną ciszą; odpoczywamy, oczekując na rozrywkę więcej duchowe, a głównie uszne, boć się zbliża chwila wszelkich harmonijnych popisów, przybierających rozmiary istotnego turnieju.

Po za tem rauty, *five o'clock'i*, znowu po maleńkiej przerwie zaczną nas sprowadzać do wspólnych mianowników i otworzą nam nowe pole do składania holdów naszej Władczyni Modzie.

Nim to jednak nastąpi, każda z nas, która dużo bywała i dużo się bawiła w ubiegłym karnawale, a więc zużyła poważną liczbę strojnych galganków, powinna, korzystając z wolnego czasu, zabrać się do rozsegregowania tych kosztownych fatalaszków, a to w następujący sposób:



Fig. II.

jakby darowane. Krepy, musliny, o ile nie karbowane, spruć, odprasować i zachować w ten sam sposób. Kwiaty posłać do fabryki do odświeżenia, zachować w odpowiednich kartonach. Koronki, o ile cenne, to jest prawdziwe, przypudrować lekko pudrem „Iris“ i zawinąć w cienki muslin; jest to najlepszy sposób

przechowywania koronek, choćby najkosztowniejszych, przed użyciem dokładnie oczyścić miękką szczoteczką.

Zaprowadziwszy taki dokładny porządek w balowej amunicji, należy pomyśleć o nowej, tej rautowo-koncertowej. Właściwie, klasycznie, to tuiety rautowe powinny być o wiele strojniesz niż balowych. Jest to bardzo zresztą racjonalne, bo na tego rodzaju zebraniach stroje się nie niszczą.

W obecnym postnym sezonie panami rautowej sytuacji będą aksamit i plusz, mieszane z *crêpe chiffon* i *mousseline de soie*. Przy czarnej aksamitnej tuiecie formą *princesse*, draperya wokół dekoltażu i pół-rękawy z *crêpe chiffon* lub muslinu koloru *gris argent* prześlicznie wygląda, do *gris argent* wypustki z *chinchili*, do białych rękawów i draperyi, małe obłożenia z gronostajów. Wszelkie motywy z *paillettes en relief* czarnych lub kolorowych są *le dernier cris* najświeższej paryskiej mody.

Krepa chińska (*crêpe de Chine*), *mousseline de soie* na jedwabiu, także nie są wykluczone z toalet rautowych, stanik *demi décolleté*, rękawy *demi longues*, wszystko przybrane sznelową piękną frendzlą, a okraszane czarnym dżetem, niezmiernie będą używane.

Na *five o'clock'i* najmodniejszą obecnie suknią jest z *drap ivory*. Spódnica z gładką obcisłą od góry tiunika, do której przytwierdzona szeroka falbana w fałdy nakładane w jedną stronę, z tyłu od pasa duża kontrafalda. Cała suknia zahaftowana ręcznie białym kordonkiem. Tuieta taka, choć naporóż bardzo skromna, prześlicznie wygląda. Wogóle *drap mastic* lub *ivory*, ozdabiane ręcznym lub maszynowym haftem, są ostatnią sezonową nowością.

Na ulicę zawsze suknie *trotteuses* jeszcze obcisłe od góry a falujące u dołu; jest jednak faktem spełnionym, że z wiosną zajdzie radykalna zmiana w kroju spódnicy; fałdy, kontrafaldy, różne baskiny, a nawet tiuniki fałdowane zastąpią obcisłość obecna, z czego powinny się cieszyć te wszystkie z pomiędzy nas, które są bardzo szczuple lub bardzo pełne. Za to gorsety *bust droit*, czyli secesyjne, zyskały powodzenie, uznanie i zastosowanie ogólne i zdaje się, że długo trwać; tu zmiana nie tak prędko nastąpi. Potrafiono zabrać się do interesu, boć to interes, jak wszystko, co się tyczy mody. Zjednano sobie nawet fakultet medyczny paryżki, który oznajmił wszem wobec i każdej z nas z osobna za pomocą kolosalnych reklam, że jedynym higienicznym gorsetem jest właśnie ten secesyjny, zatracający o ile możności wszelkie kształty kibici prócz binstu. Dziś w Paryżu, począwszy od wielkiej damy, a skończywszy na zręcznej subretce, a nawet kucharce, nikt już innego gorsetu nie nosi, a prócz tego zasypano nim całą Europę. Zrobiono więc upragniony obrót.. milionowy i sprawdził się zręczny sofizmat Aleksandra (syna), który zaręczał, że w Paryżu pod każdym ulicznym kamieniem znajdują się krocie — trzeba tylko umieć je wydostać.

Teraz słowo o kapeluszu. Na ulicę do sukien *tailleur* (najbardziej używaną formą jest *chapeau marquis* (patrz fig. I). Wszelkich rodzajów i kolorów filce, przybierane albo dużą kokardą lub bukietem fijołków, które znowu odzyskały dawną wziętość i będą bardzo noszone na wiosnę — oto na razie wszystko na początek postu, a dalsze nowiny wkrótce.

Figura I. Kapelusz „Marquis“. Jasno popielaty, gruby, miękki filc włochaty, wygięty według wzoru, pochylony na czoło tak, by osłonić część uczesania. Na boku olbrzymie *choux* z atlasowej jasnej *lila rose* wstążki, przypięty jakby pod kapeluszem na włosach z lewej strony. Model zaznacza kolor wstążki *lila rose*, a filc jasno popielaty. Można jednak dowolnie zamieniać kolory, i tak np. ślicznie wygląda taki kapelusz „marquis“, koloru *loutre* (wydra) z kokardą *bouton d'or*.

Figura II. Szarfa (*étole*) z futra i koronek. Futro imitujące srebrne lisy (*renard argenté*) zakończone po obu stronach rzemą ogonkami, całe podszyte atlasem *gris argent* i ozdobione białą angielską gi-



Fig. IV.

piurą. Kapelusz dopełnia całości tego futrzanego przybrania. Jest on kształtem *marquis* z jasno popielatej brokateli, przybrany ogonkami z *renard argenté*.

Figura III. Kostium spacerowy. Rodzaj *tailleur*. Miękkie, cokolwiek włochate sukno koloru *lierre* (bluszcz). Spódnica obcisła od góry, falista od dołu. Na samym dole szeroki pas z sukna gładkiego jasno zielonego, ozdobiony cieniuchnymi wałeczkami z matowej materyi ciemno zielonej. Długi weinany żakiet na cienkiej jedwabnej wacie, sięga prawie do kolan. Duże wyłogi, wysoki kołnierz wiwinięty, szerokie mankiety i pasek wydłużony z przodu, wszystko to zupełnie takie same jak pas dolny przy spódnicy. Kapelusz fantazyjnie wygięty, jasno zielony, przybrany ciemniejszymi wałeczkami, przy bocznym podpięciu czarna aksamitna kokarda, z tyłu także końce, na rondzie duże aksamitne kolorowe bratki bez liści.

Figura IV. Żakiet „art nouveau“ (Model londyński). Jest to żakiet jak obecnie jeszcze za chłodny na ulicę, ale mogący służyć w pokoju, lub na pół-sezon wiosenny. Lekkie sukno *drap de soie*, koloru *gris souris*. Krój znakomity, angielski, zupełnie obcisły, z lekka tylko wydłużony z przodu, wydłużając tym sposobem talję. Duża kłapa tworzy boczne zapięcie, ozdobiona sześcioma *pampilles* w cieniu popielatym cokolwiek ciemniejszym. Na lewo z boku, mała kieszonka, duży okrągły sukienny kołnierz oszyty białą dosyć szeroką wypustką zakończoną z obu stron galonem tego samego cieniu co *pompille*. Mały plastronik, biały jedwabny, pokryty grubą angielską gipiurą, przy samej szyi biały płócienny wykładany kołnierz. Rękawy gładkie od góry, tworzą bufę ujętą przy ręku w mały mankiecik, naszyte jedwabnym cienkim sznurkiem lub wążutkiem galonem, pasek sukienny z takim samym naszym cieniem.

Figura V. Suknia elegancka domowa. Materyał *étamine* welniany *bleu malade*. Krój w rodzaju *princesse*. Na przodzie, przy szyi i przy rękawach, rodzaj dużej *étole* z tegoż materyału, podszytej białym atlasem haftowanym niebieskim kordonkiem. Sznur biały jedwabny długi, zakończony chwastami, tworzy przewiązanie w posie.



Fig. V.

## Odpowiedzi przepisy i t. d.

Pani W. R. w Kamieńcu Podolskim. Niestety szanowna pani nie ma na to sposobu. Jak się już raz ufarbowało włosy na kolor złoty, a chce się odzyskać dawny naturalny, trzeba po prostu czekać aż włosy odrosną, a żółte końce ścinać, ponieważ wygląda to fatalnie, bo włosy od głowy są naturalnie ciemniejsze, więc należy całą głowę przypudrowywać pudrem żółtym *Iris*, lub ciemniejszym. Użycie innej farby jest niemożliwie bo nadaje włosom kolor zielonawy.

Pani Waleryi M. w Czyżewie. Jednym, a może jedynym środkiem przynoszącym *natychmiastową* ulgę przy silnym odziębieniu rąk lub nóg — jest następujący: Bierze się parę białek od jajek — wylewa na płaski talerz i sporym kawałkiem alunu bije się białka na sztywną pianę. Te pianę nakłada się na wate opatrunkową i owija się chore miejsca. Niechaj pani będzie łaskawą spróbować. Swędzenie i palenie ustaje wkrótce.

## Znakomite perfumy.

Korzeni fijołkowych (*iris de Florence*) 250 gramm nalewa się 1/2 litrem alkoholu na 50°, zostawia się dni 10, następnie się filtruje przez odpowiednią bibułę, dolewając 5 gr. essencji *Verveny* 20 centigr. essencji różanej. Zostawia się ten płyn 24 godzin, zlewa się do flakonów.

## Woda do odświeżenia i czyszczenia oddechu.

Wody kolońskiej 60 gram., esencji miętowej 60 gram., chlorure de soude 20 gr., dolewać do płukania

## Bardzo dobry płyn na włosy.

Tinktura capsicum annum 10 gramów.  
Tinktura chinowej . . . 80 „  
Gliceryny czystej . . . 5 „  
Essencji z fijołków . . . 2 „

Nacierać starannie flanelą zmoczoną w tym płynie rano skórę na głowie.